

KAMIL PERT

## Dramat w domu obłąkanych

17

Powieść.

— Nie trzeba nosić tej sukni — rzekł. — Czarna, brzydka!

Pani Manescault odpowiedziała:

— Muszę ją jednak nosić rok jeszcze.

— Dlaczego?

— Bo taki zwyczaj.

Jakób zachichotał gorzkim, niemal ironicznym śmiechem.

— A tak! tak!... żałoba! — wyjąkał.

Poczem nagle zaczął nucić wesoło i przechadzać się niezmiernie szybko tu i tam po pokoju.

Julia go przywołała:

— Chodź-że ścierać kurze!... Jaki teraz leniuch z ciebie!... To doktor Jintot tak cię popsuł!

Jakób zbliżył się żwawo.

— Kocham bardzo doktora. Dobry jest dla mnie, daje mi książki do czytania.

— To też chętniej pracujesz dla niego, niż dla mnie.

On odparł z gwałtownym wybuchem tklivości:

— Nie!... Cieszę się bardzo... bardzo, że jestem przy pani!... Wszakże teraz wzywać mnie będziesz częściej do pomocy?

— Tak... może.

— To dobrze... bo ja mam pani dużo do powiedzenia...

— Mów!

Z miną tajemniczą poruszył głowę.

— Nie teraz!

I w moment potem wybelkotał z dziwnym jakimś śmiechem:

— Wtedy, gdy już nie będziesz mieć na sobie czarnej sukni.

— Jeśli powiesz, co chciałeś powiedzieć, to gotowa jestem zrzucić ją zaraz — rzekła pani Manescault, udając wesołość.

Nie odpowiedział. Przykląkł i pewien czas zatopił się cały w bardzo sumiennem oczyszczaniu jednej z nóg u biurka.

Poczem powstał nagle i roześmiał się głośno.

— Słuchaj! — zawołał. — Czy to prawda, że chcesz być moją przyjaciółką?

— Przecież, mój Jakóbku, byłam nią zawsze.

Poruszył głowę z smutnym wyrazem w oczach.

— Nie!... nie!... Dawniej, tak... Lecz potem napędziłaś mnie... i nigdy więcej nie wołałaś...

— Wszakże, zamiast mnie, miałaś doktora Jintota.

— To nie to samo...

Urwał nagle to, co dalej miał mówić i po chwili, wracając do jednej z poprzednich swych myśli, szepnął gorączkowo:

— Powiem pani... ale to sekret!

— Dobrze... powiedz.

Wybuchnął znowu śmiechem:

— Chcę się ożenić!

— A!... Z kim?

Kiwał głową.

— Sekret!... sekret! — wybelkotał.

Poczem rzekł z dumną miną i tonem poufałym:

— Mogę teraz wybierać... Jestem królem!

Pani Manescault zachnęła się, przejęta niepokojem. Zauważyła znacznie większy niż niegdyś brak związku w tem, co obecnie mówił Jakóbek.

Jednakże nie opierała mu się, gdy ją delikatnie wziął za rękę i przyciągnął do okna.

— Nie powiesz nikomu?... Przysięgnij! — zawołał.

Ona, udając, że się uśmiecha, szepnęła:

— Przysięgam!

Wówczas chłopak, rozpiął na sobie kamizelkę, rozsunął nieco koszulę i z poza niej wyciągnął nieduży pakiet, starannie owinięty, wiszący na taśmie, opasującej mu szyję.

— Co to jest? — zapytała Julia z ciekawością.

Jakóbek ostrożnie odchylił boki zwitka i wysunął zeń ćwiartkę pergaminu, z tekstem drukowanym, o literach czerwonych, zielonych i czarnych, z ilustracjami drzeworytowymi — wyobrażającymi bardzo skomplikowane przedmioty. Przy pergaminie wisiała zielona wstęga z mory jedwabnej, trzymająca się na dwóch w laku czerwonym wyciśniętych pieczętkach.

Młody człowiek spoglądał na to wszystko z cziłą, pełną wzruszenia.

Podniósł pergamin do ust i złożył na nim pocałunek, poczem wybelkotał:

— To mój dyplom... dyplom na króla... Przecie pani widzi...

— A!... Czyż naprawdę? — rzekła Julia.

I przyglądała się pergaminowi, przyozdobionemu koroną królewską o złotym wycisku i zadrukowanemu tekstem w języku portugalskim. Całość wydawała się patentem, jaki dołączany bywa do orderów mocarstw zagranicznych.

Nagle zatrząsała się całym ciałem.

W pośród dźwięku, ujrzała ręką ludzką wypisaną wielkimi literami imię i nazwisko: Emanuel Laborda.

— Kto ci dał ten pergamin? — zapytała, wyciągając po patent rękę.

Lecz Jakób, jakby zaniepokojony, usunął się raptownie na bok.

— Nie trzeba tego dotykać! — rzekł poważnie. — To rzecz bardzo cenna!

Jak tylko mógł najspieszniej i najostrożniej, zwinął pergamin na nowo i wsunął na pierś za koszulę.

— Jakób! — przemówiła pani Manescault głosem słodkim, lecz bardzo stanowczym — musisz mi powiedzieć koniecznie, kto ci dał ten dyplom... bo jak nie powiesz, nie będę cię kochać!

On wziął rękę Julii, poniosł ją do ust, i złożył na niej niezgrabnie pełen szacunku pocałunek.

— Obecnie, gdy jestem królem — rzekł tonem pełnym niemal dziewiczej ufnosci — zechcesz niezawodnie wyjść za mnie. Nieprawdaż?

Serce w piersi pani Manescault kołatało z niesłychaną mocą. Przejmował ją lęk niewypowiedziany, a równocześnie czuła, że wstąpiła na ślady tajemniczego tropu.

Jakóbek tymczasem odezwał się znowu błagalnym głosem:

— Czy chcesz mię poślubić?

Ona zdobyła się na odwagę i prawie spokojnie odparła:

— Gdybym miała zostać twoją żoną, musiałabym cię kochać, a ja kochać będę tylko tego, który mi wyzna wszystko, który odpowiadać będzie szczerze na wszystkie moje pytania!

Cofnął się nieco w tył. Jakiś ponury cień przemknął po jego twarzy.

— Wszystko ci powiedzieć? — wyszeptał łamiącym się głosem. — Nie!... Nie mogę wszystkiego powiedzieć... bo przestraszyłabyś się bardzo...

Pani Manescault poruszyła się tak, jakby chciała się oddalić.

— W takim razie nie będę mogła cię kochać.

Chrapliwy krzyk wyrwał mu się z piersi, poskoczył naprzód, stanął przed nią i zagroził jej drogę.

— Nie odchodź!... Pozostań ze mną!... Nie chcę cię już nigdy opuścić!...

Julia, wobec owładającej ją strasznej obawy, wyteżyła wszystkie siły ducha, aby nie uciec. Bo w istocie można było przerazić się tego wielkiego, bladego chłopca, o żrenicach jasno-niebieskich, pozorze jakby pustych i bezmyślnych, a jednak szczególnie błyszczących.

— Bądź łagodnym i uległym — rzekła — a wtedy pozostanę. Jeśli nie uczynisz zadość mojej prośbie, będę przekonana, że mnie nie kochasz.

Roześmiał się śmiechem dziecięcym i podszedł do sekretarzyka.

— Czekał-że minutkę... niech ci coś naprzód pokażę — powiedział prawie wesoło.

Ze zdziwieniem ujrzała Julia, jak z kieszonki od kamizelki wyjął kluczyk i otworzył nim naprzód szufladę górną, potem dolną szafkę w starym mebelku.

— Jaki? — zawołała. — Masz klucz od sekretarzyka?... Jakżeś go dostał?...

Znowu roześmiał się głośno, spojrzał na nią wzrokiem tryumfatora i cedząc wyrazy przez zęby, bo wymawianie niektórych zgłosek było dlań niezmiernie trudne, wyjąkał powoli:

— Ja wszystko otwieram!... Wszędzie!... Ho, ho! niedołągi, głupcy, żartują sobie z Jakóbka... lecz Jakóbek na żarty nie zważa... udaje, że nie słyszy... a wie wszystko... co chce zrobić może... bo Jakóbek król!...

Przestał mówić raptownie, wysunął szufladę i wyjął z niej kartę albumową z fotograficznym Julii portretem.

— Widzisz! — powiedział — codziennie, gdy nikogo nie było w pokoju, przychodziłem tu patrzeć się na ciebie...

I zmienionym, słodkim, pieszczotliwym głosem, dodał z wyrzutem:

— Złośliwa!... Napędziłaś swego przyjaciela... a on był bardzo nieszczęśliwy!

Poczem nagle, śmiałym ruchem ręki wsunął fotografię do bocznej kieszeni tuzurka.

— Zabieram ją! — oświadczył. — Do mnie należy!... ponieważ jesteś moją żoną!

Julia, głęboko przekonana, że nadszedł moment, w którym można rozpocząć badanie, położyła rękę na ramieniu Jakóbka.

— Chodź! — rzekła nieco drżącym głosem. — Usiądź... i słuchaj mnie!

Podniósł na nią oczy powoli, a ona spojrzała w nie z całą bystrością, na jaką zdobyć się zdołała. Wargi jego zadrżały, nie odpowiedział jednak ani słowa, tylko pokonany, poszedł za nią. Posadziła go obok siebie, na stojącej w jednym z rogów pokoju kanapie i trzymając go ciągle za ramię, z oczami w niego wlepionymi, rzekła, starając się przemawiać niemal groźnie:

— Kto ci dał pergamin?... Czy doktor Jintot? Pochylił głowę.

Dziwnie złośliwy wyraz przybrała twarz jego na chwilę.

— Nie! — odparł chrapliwym głosem.

— Więc kto?

W sposób, nie określający co myśli, poruszył głowę. Julia powtórzyła pytanie głośnie, z większym naciskiem:

— Kto?... Powiedz mi... Chcę wiedzieć!

Odpowiedział z trudnością:

— Nikt!... Sam wziąłem.

— Gdzie?

Próbował wysunąć ramię z pod przytrzymującej go ręki pani Manescault.

— Nie wiem! — wyrzucił z gardła opryskliwym tonem, widocznie bowiem trwał w zamiarze niemówienia.

Julia złagodziła nieco dźwięk swego głosu.

— Żeby mi zrobić przyjemność... jeśli chcesz, żebym cię kochała... trzeba mi odpowiadać grzecznie.

Zdawało się, że w mózgu jego budzą się jakieś odległe wspomnienia i tajemnicze zgryzoty. Tklivość tonu, jakim do niego przemawiała młoda kobieta, wzruszyła go.

— Chcę, żebyś mnie kochała, więc powiem ci wszystko — przyrzekał, jękając się, prawie niezrozumiałym głosem.

Ona przysunęła się do niego i pytała z nalegaaniem:

— Czy owego wieczora, gdy się to stało, byłeś w biurze u doktora Jintota?

Nie śmiała jaśniej i wyraźniej określić nocy, w ciągu której popełniono zbrodnię. Lecz Jakób widocznie zrozumiał i nie uczuł się podrażniony zapytaniem.

— Nie — rzekł — nie byłem w biurze.

— Jednakże doktor kazał ci, żebyś pozostał w nim, jak co wieczór?

— Tak.

— A ty nie usłuchałeś?

— Nie.

— Dlaczego?

Nie odpowiedział. Widocznie umysł jego nie reagował na zapytania, które nie zwracały się wprost do przedmiotu, o którym chwilowo myślał. Julia to spostrzegła i zagadnęła go w inny sposób:

— Czy często zdarzało się, że wieczorem nie siedziałeś w biurze?

— Często... bo się nudziłem...

— A doktor o tem nie wiedział?

— Nie.

— A owego wieczora, gdzie byłeś?

Podniósł na nią raptownie zaniepokojone oczy.

— Nie wiem! — wybelkotał.

Ona przybrała minę surową.

— Wiesz dobrze, lecz nie chcesz powiedzieć. Powtórzył machinalnie:

— Tak, nie chcę powiedzieć.

Ona, zdenerwowana już przedłużającą się walką z jego uporem, rzekła gwałtownie:

— Ja chcę, żebyś mówił!... Gdzie byłeś?

— W pawilonie.

Julia zadrżała.

— Czy w Pawilonie Bzów?

— Tak.

— U pana Laborda?

— Tak.

— Czy on cię znał?

— Tak, tak!... Pracowałem u niego często... Przyklejałem kartki pocztowe w jego albumie. On nie-raz długo ze mną rozmawiał...

— Więc to on kazał ci przyjść tego wieczora?

— Nie.

— Może doktor Jintot polecił ci pójść do niego?

— Nie.

— W takim razie, kto?

— Nikt... Sam poszedłem...

— Na co?

— Nie wiem... Przyszła mi myśl, żeby pójść...